

28 lutego 1998 w sali koncertowej Trzeciego Programu Polskiego Radia, noszącej od roku imię Agnieszki Osieckiej wystąpił Robert Kasprzycki. Koncert transmitowany na żywo prowadził Marek Niedźwiecki. Zaraz po jego zakończeniu poprosiłem Roberta o kilka słów refleksji.

Dariusz Nerkowski: Czy po raz pierwszy wystąpiłeś w tej sali?

Robert Kasprzycki: Tak i przyznam szczerze, że było to duże przeżycie. Po pierwsze, że to Warszawa, daleko od Krakowa i specyficznej, ale znanej mi publiczności. Po drugie słuchacz przy odbiorniku nie ma możliwości takiego koncertu zobaczyć, a poza tym nazwisko patronki....

D.N. Zdarzyło ci się już występować w koncertach emitowanych „na żywo”...

R.K. Grałem podobne koncerty dla Radia Łódź, Radia Kraków, w Rzeszowie i chyba w Radomiu.

W ogóle uwielbiam koncerty. Oznaczają one bliski kontakt ze słuchaczem, niejako na nich „odżywam”. W momencie gdy śpiewam, nie mam kompleksów typu: „Boże, jak ja fałszuję”, „o rany, jak ja wyglądam...”, właściwie nie myślę o tym, że ja sam coś złe zrobię. Bardziej się boję o instrumenty, bo jako przedmioty nie do końca martwe nie zawsze działają jak trzeba. Cos nie stroi, ktoś źle połączył kabel, coś się smaży w „odsluchu”. Większy stres wynika z tego że przez radio słyszy cię dużo więcej osób. „Trójka” jest dla mnie rodzinną i rodzimą stacją, jeżeli chodzi o typ wrażliwości i sposób patrzenia na świat, więc jak że jestem dzieckiem lat osiemdziesiątych a nie dziewięćdziesiątych, stres był o tyle większy, że nie chciałem dać plamy i zagrać słabiej niż zwykle.

D.N.: Podczas dzisiejszego koncertu zauważyłem pewną metamorfozę: z łagodnego, niemal romantycznego poety przekształciłeś się w istnego zwierza estradowego, rapującego, jazzującego i rockującego.

R.K.: Rokującego nadzieję. Kiedyś myślałem, że można przenieść siebie – w wersji spokojnej na scenę, bo poza nią jestem dużo bardziej nieśmiały niż w wersji Koncertowej. Jednak mikrofon i gitara dają jakąś tam władzę nad ludźmi. A że zawsze byłem trochę pokręcony, trochę zwierzęcia rockowego, trochę zastrachanego chłopczyka więc musiałem polubić w sobie to przemieszanie.

Ty znasz mnie głównie z piosenek poetyckich, a ja w tym czasie udzielałem się jako wokalista zespołu Life – takie połączenie: trochę Stinga, Faith No More, Doorsów, Pearl Jam, Living Colour. Po prostu krzyk i szept do ucha to dla mnie jakby dwa dialekty tego samego języka.

Jeśli chcę coś powiedzieć, to zależnie od treści i wybranej drogi przekazu po prostu wybieram jedno lub drugie. Chodzi o to samo: o przebudzenie ludzi do myślenia. Potrzebne jest więc rozluźnienie, żeby móc im przekazać jakieś ważne treści, bo po to, żeby ludzi czegoś nauczyć, trzeba ich zainteresować, a nie da się nikogo zainteresować, jeśli się trochę :”mędzi”. To taka trochę moja podświadoma, trochę wyuczona, taktyka. Więc jeśli o mnie, że nie gram piosenki „mężzonej”, to ma to jedynie taki sens, że staram się dbać, żeby mój słuchacz się nie znudził, czuli przestał słuchać, bo w takim przypadku wszystko zmienia się w bełkot, w dodatku skierowany do siebie. Staram się więc zainteresować słuchaczy melodią, rytmem, zarazić jakąś energią po to, żeby móc im coś przekazać.

Przy tym, z założenia nie osłabiam słów, jeśli chodzi o ich sens. Nie są to debilne słówka, jakieś tam kretyńskie zespoły zdarzeń myślowych. No, tak się przynajmniej pocieszam. Chcę po prostu oddawać wewnątrz jakiś obraz siebie. Jeżeli ktoś się z pewnymi jego elementami identyfikuje albo znajduje w tych tekstach coś istotnego, coś, co go przejmuje, to jakby już pewien sukces dla mnie jako autora.

D.N.: Graliście dziś trochę w nietypowym składzie...

R.K. : Mój stały zespół, czyli Adam Zadora na perkusji, Maks Szelegiewicz na gitarze basowej i Tomek Hernik na puzonie i akordeonie - jesteśmy już starą maszyną do zabijania. Gramy we czwórkę właściwie od 1995 roku, no przesadzam, ostatnio w listopadzie 1997 Piotra Dziadkowca, który oddał się swoim poszukiwaniom artystycznym jako malarz i grafik, zmienił Maks Szelegiewicz.

Dzisiaj zagrali tak że Marek Smok Rajss, z którym znamy się jak stare konie trojańskie i Andrzej Czamara, gitarzysta zespołu Czerwony Tulipan.

D.N.: Twoi koledzy z zespołu świetnie się bawili grając...

R.K. : My się po prostu znamy. To nie jest zespół z nadania koncertu płytowego (również dlatego, że jesteśmy śliczni inaczej), ani na zasadzie: "Kazek, nie znasz jakiegoś taniego gitarzysty?", My się znamy, lubimy, cenimy swoje typy wrażliwości. Co dla mnie ważne, koledzy z zespołu lubią to co gram, twierdząc, że jest w tym radość grania, więc pewnie dlatego gromadzę wokół siebie osoby, które kochają muzykę jako mieszkankę zabawy, bycia i wygłupiania się wspólnie.

Tu nie chodzi o to czy po koncercie dziewczyny pójda z mną, powiedzmy, na kawę - na dobry początek (że tak wyśmieję ten aspekt życia artystycznego i towarzyskiego), tylko o przepływanie energii. Kochamy grać i tyle. Tym pewnie różnimy się od tzw.

matematyków, którzy grają np. jazz (równie dobrze może to być inny ekskluzywny gatunek) nie troszcząc się ani o siebie (i tak nigdy nie będę Marsalisem), ani o biednych słuchaczy. My natomiast gramy po to, żeby bawić ludzi, ale tylko gdy bawimy siebie. Oczywiście nie za wszelką cenę, bo wtedy groziłby nam paszport "Polsatu".

D.N.: Dla wielu autorów materia tekstu okazuje się oporna...

R.K.:To jest pewnie kwestia zdolności. A na pewno pracy. Tylko niektórzy tworzą dobre teksty, ot tak, po prostu. Większość musi się tego uczyć, bo przez język trzeba się po prostu przedzierać. No więc staram się nauczyć tej sztuki.

Dla mnie na przykład Kazik Staszewski jest niesamowity po względem siły przedzierania się przez niemoc opisaną świata. Jako autor i bardzo plastyczny wykonawca własnych tekstów stara się opisywać rzeczywistość czy siebie w zderzeniu z nią. Czasem wychodzi z tego bełkot, ale na zupełnie innym poziomie uporządkowania, czasem nowy język opisujący nasze czasy.

A ponieważ nie jesteśmy ze względu na jakieś tam historyczne wydarzenia u kresu naszego historycznego rozwoju, tylko w momencie gdy „Titanic” komunizmu zadziałał na naszą górą lodową po nazwą rynek. Titanic wypełniony czeredą solowych muzyków i dyrygentów, na którym każdy grał swoje, musi teraz podporządkować się zupełnie innej muzyce z twardymi jak lód regułami. Więc również język trzeba na nowo poukładać (ale to strasznie brzmi!). A co poecie w tym czasie marnym? Trudno coś konkretnego powiedzieć - ci najwięksi wymownie milczą, a młodszy ciągle się uczą. Zresztą, sądząc po tym, co słyszymy w telewizji i w radiu nasz bohaterski naród bardziej interesuje problem gorących kobiet, nowych formuł proszku czy groteskowe zmagania sił porządkowych z kibicami. Zatem siedząc tu w sali im. Agnieszki Osieckiej można stwierdzić, że piosenka z tekstem niekoniecznie kogokolwiek obchodzi. A jeśli już, to z daleka...